Kraków, 28-go czerwca 1914 r.

Rok 10. Nr. 13.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 26.

Dzieci kochane!

Słyszałeście może kiedy, że ojczyznę naszą, Polskę ukochaną nazywają „Matką Swiętych“. A czy wiecie dlaczego? Oto dlatego, że na tej polskiej ziemi waszej urodziło się i wychowało wiele świętych mężów i niewiast, których Kościoł święty ogłosił świętymi, których czcimy i modlimy się do nich, a oni wstawiają się za nami do Boga. Wielka liczba tych Patronow naszych, bo tak nazywamy Swiętych na naszej ziemi zrodzonych. Imiona niektórych z Nich słyszałyście pewnie wiele razy, n. p. św. Stanisław Szczepanowski, biskup krakowski, którego ciało spoczywa w katedrze na Wawelu, — św. Kazimierz królewicz, św. Jan Kanty, św. Stanisław Kostka, bł. Kinga, królowa, — bł. Salomea, bł. Bronisława. W tym miesiącu obchodzimy święto jednego z tych naszych wielkich i sławnych Rodaków, bł. Jakóba Strepy. Przypada ono zawsze w trzecią niedzielę po Zielonych Swiętach, które w tym roku jest 21 czerwca. Jakób Strepa był to zakonnik, Franciszkanin, a później arcybiskup lwowski. Zył za panowania królowej Jadwigi i Jagiełły, a oboje królestwo czcili Go już za życia jak Swiętego i często radzili się go w sprawach rządów. We Lwowie i na całej Rusi Czerwonej było wtedy jak i dziś wielu Rusinów, ale nie katolików, tylko schizmatyków czyli odszczepieńców, takich jakimi są do dziś Moskale, co to nie ojca św. Papieża w Rzymie uznają za Głowę widoczną Kościoła i za Namiestnika P. Jezusa — ale cara. Zdarzyło się, że i jaki Polak, co osiadł na Rusi

pociągnąć się dał do odszczepieństwa, a wtedy łatwo zapomniał, że jest Polakiem i uznawał się za Rusina. Bolał nad tem święty biskup i wśród trudów i niewygód pieszo przechodził od wsi do wsi, a wszędzie lud oświecał i umacniał w prawdziwej wierze katolickiej. W dzień nauczał, a w nocy modlił się na klęczkach, za lud polski. Gdy przed pięciu laty wkładano kości jego do nowej srebrnej trumny, obceni przy tej uroczystości lekarze spostrzegli, że na kości kolan były znaki od długiego klęczenia. Ta trumna ze świętymi szczątkami bł. Jakóba Strepy stoi na ołtarzu w katedrze lwowskiej. Spieszą do tego ołtarza ludzie pobożni i wypraszają sobie różne łaski za przyczyną błogosławionego Arcybiskupa, a szczególnie uzdrowienie z ciężkich chorób. Wiele też srebrnych i złotych serduszek i innych wotów zdobi obraz bł. Patrona ziemi lwowskiej, który unosi się nad Jego trumną. Złożyli te wota ci, których modlitwy wysłuchał P. Bóg za przyczyną Jakóba Strepy. I wy dzieci kochane pomódlcie się do Niego i proście, aby was i całą ojczyznę naszą miał bł. Jakób w Swojej opiece.

W KATEDRZE LWOWSKIEJ.

W wspaniałej, starej lwowskiej katedrze,
Gdzie słynie obraz Bogarodzicy
Panny łaskawej, — spoczywa trumna
Srebrzysta cała w Krzyża kaplicy.

A w trumnie zwłoki błogosławione
Złożył lud lwowski Pasterza swego,
Co go tu pierwszy w wierze oświecał:
Jakóba Strepy, Męża Swiętego.

I był nam Jakób wielkim obrońcą
W dniach smutku, trwogi i w dniach niedoli,
Wypraszał zdrowie, pokój i zgodę,
Z pomocą spieszył w każdej złej doli.

I do Maryi, Panny Łaskawej
Jako za życia, tak w niebie wołał:
„Okaż się Matką“ ludowi memu
„By Bogu wierny zawsze być zdołał“!

I za przyczyną Polski Patrona
Marya na Polskę mile wejrzała:
Ojczyznę naszą z pośród państw wiela
Za Swe królestwo miłe uznała.

I z tej katedry niegdyś królewskie
Echem rozgłośnem rozbrzmiały śluby:
„Panno Łaskawa, Polski Królowo,
Daj nam zwycięstwo ocal od zguby“!

I ocaliła — a teraz oto
Królową naszą Rzym Ją ogłasza,
I „Bazyliki“ tytuł dostaje
Ta jej świątynia, katedra nasza.

Jakóba Strepę zaś Przesławnego
Jako pierwszego Stróża świątyni
Razem z Maryą, Patronką naszą
Pius X. Patronem czyni.

PLISZKI.

Był to wczesny ranek w końcu maja. Nad wierzchołkami gór ukazało się słońce i pierwsze jego promienie padły na torfem pokryty dach szopy, zbudowanej na letniem pastwisku. Zeszłoroczne zwiędłe źdźbła słomy przy najlżejszym podmuchu wiatru unosiły się w górę i jakby zawstydzone swą niemocą, jeszcze szybciej opadały na ziemię. W tej właśnie chwili, z rozgłośnym, wesołym świegotem spuściła się na szczyt dachu para pliszek.

Siedzą przez chwilę nieruchomo, spokojnie, jak gdyby chciały odpocząć, potem kołyszą ogonkami, obracają piersi do słońca i spoglądają ku wschodowi, a oczki ich połyskują, jak maleńkie, błyszczące krople rosy. Nareszcie są znowu w domu!

Były długo w drodze, podróżowały kilka dni, aż przywędrowały tu het, z nad Nilu. Były jedne z pierwszych pomiędzy małemi ptaszkami, które wyruszyły stamtąd. Niektóre większe ruszyły już wcześniej, a zaraz za temi wiel-

kiemi — szpaki. Z pośród tych ostatnich, tylko kilka mniejszych stad zdołał powstrzymać w drodze srogi wiatr północny, ale wkrótce i one dopędziły lecące stado pliszek. Bo i pliszek była ilość olbrzymia, okiem niezmierzona, gdy wyruszały ze swych zimowych gniazd; stado to trzymało się razem, dopóki nie ujrzało ziemi ojczystej. Lecz tutaj każde już dążyło do swego kącika, każde leciało w inną stronę swego kraju. Jedno stadko za drugiem odłączało się od wielkiej gromady i dążyło w małem kółku ponad łąki swej doliny, w miejsce, gdzie się było urodziło, gdzie się wychowało, w miejsce, do którego tęskniło gorącem serduszkiem. I kiedy wzlatywało ponad łąkami, to rozpierzchało się jeszcze i jeszcze: — jedne pliszki pozostawały blizko



dworków, inne pod strzechami chat; niektóre dążyły w jeszcze mniejsze doliny, lub kierowały się drogą po wzgórzach, by wreszcie tam uwić gniazdo na trawą porosłym dachu szopy, na pastwisku, lub het gdzieś w górach.

W ten sposób wczoraj z całej ich sporej gromadki zostało tylko sześcioro, to jest one, sąsiad ze swą żoną, którzy zeszłego roku założyli gniazdo na dachu sąsiedniej szopy, i parka młodych, pragnących swe pierwsze gniazdko uwić jak najbliżej obojga rodziców. Z pomiędzy zeszłorocznych piskląt zostało się tylko dwoje: jedno zagospodarowało się ze swym towarzyszem na pastwisku po drugiej stronie doliny, drugie połączyło się właśnie z jedynaczką sąsiada i pragnęło mieszkać w blizkości; dwoje wreszcie zginęło na jesieni w drodze na południe. I właśnie wczoraj wieczorem, kiedy strudzeni długą podróżą, zapragnęły

odpocząć, stał się nieszczęśliwy wypadek. Sąsiad ich frunął ze zbyt wielkim rozmachem — prawdopodobnie z radości, że był już tak blizki domu — natrafił na ostrą gałąź i złamał dwa pióra u skrzydła. Nie mógł tedy lecieć dalej i postanowił wraz ze swą ukochaną pozostać tego lata w dolinie.

Wtedy też ułożono, aby parka młodych zajęła jego zeszłoroczne gniazdo. Takim sposobem uniknęła ona szukania nowej siedziby, co wymagało zwykle dużo czasu.

Tak więc już tylko czworo ptaszków w ten jasny świt poranku chyżo unosiło się ponad wzgórzem. Odprowadziły młodą parkę dość daleko, aby móc dojrzeć, co się stało z gniazdkiem. Było nienaruszone, przytulone, jak dawniej do ściany wzgórza, ukryte wśród ciemnej zieleni.

Ale pliszki nie pozwoliły sobie ani chwili odpoczynku, pomimo, że odbyły przecież taką długą wędrówkę. Im także śpieszyło się do swego kącika. I oto wreszcie siedziały na dachu szopy.

Piękniejszego, milszego miejsca nie było nigdzie; przekonały się o tem w swej długiej podróży. Był tu rozległy, otwarty widok, tak, iż można było na wszystkie strony podziwiać cudne obłoki, goniące jedne drugie. Słońca było tu wiele i słodki wietrzyk igrał, a soczyste trawy roznosiły cudne zapachy, kołysały się rozkosznie i kłaniały poruszone wiatrem.

A i pożywienia było tu wbród. Dołem rozciągały się lasy świerkowe, sięgające aż ku rzece, a nad jej brzegami roiło się od cienkich, długonogich komarów i drobnych muszek. Latem zaś, kiedy całe stada bydła tu się pasły, nie potrzeba było trudzić się bardzo daleko po komary, bo wtedy owady tysiącami przybywały wraz z bydłem wprost do obór i do owczarni. Wtedy wystarczyło przelatywać z grzbietu jednej krowy na grzbiet drugiej i zbierać wielkie, tłuste bąki, tę podstawę pożywienia, a wówczas potrzeba go było niemało, gdyż w gnieździe były już zwykle młode, nikt zaś nie uwierzy, jak wiele potrafiły one zjeść.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KASIEŃKA.

Poszła Kasieńka,
Poszła maleńka,
Ledwie siedmiu lat —
Na pracowanie,
Na sługiwanie,
Hen, w szeroki świat!...

Tatuś z matulą
Już nie utulą,
Bo w mogile śpią.
Kasieńka mała
Sama została
Na niedolę złą.

Licho ubrana
Biegnie co rana,
Gdzie srebrzysty zdrój,
Dźwigają wodę
Ramionka młode,
A na czole znój.

Źle jej na świecie,
Kołysze dziecię
Gospodyni złej,
Naczynia myje,
Tęsknotą żyje
Do matusi swej.

— Matulu moja,
Ginę od znoja,
Do siebie mnie weź,
Na śnieżnych chmurkach,
Na białych piórkach
Do niebiosów nieś:

I przyszła matka,
Do swego kwiatka,
W porze złotych zórz.
— Chodź-że, Kasieńko,
Chodź, sieroteńko —
Bóg cię woła już!

Kasieńkę małą,
Zimną i białą.
W ciemny kładą grób,
A jej duszyczka,
Srebrna różyczka,
Już u Bożych stóp.

WDZIĘCZNY KALEKA.

Przy bramie kościoła, wsunięty w kącik, siadał od lat całych biedny, chory człowiek, który już prawie zupełnie zaniewidział i zmuszony był żebrać. Nie narzucał się nikomu, tylko zawsze cicho siedział lub klęczał na jednem i tem samem miejscu, modląc się z różańcem w ręku. Wiele osób wychodząc z kościoła, składało pieniążki w kapelusz nieszczęśliwego, który dziękował każdemu serdecznem: „Bóg zapłać“.

Pewnego razu nie pokazał się biedny kaleka przy bramie kościoła na zwykłem miejscu i nie było go widać przez czas dłuższy. Myślano, że zachorował, lecz wkrótce dobrodzieje jego dowiedzieli się, że umarła matka jego, staruszka 90-letnia i on sam jeden został w swej ubogiej izdebce. Powrócił jeszcze bledszy i ręka jego drżała, gdy macał kijem drogę.

Odtąd nie siadywał tak długo przed kościołem, jak przed tem, bo chodził codziennie modlić się na grobie ukochanej matki. Z początku kazał prowadzić się na cmentarz, ale wkrótce poznał dokładnie drogę i chodził sam przy pomoce nieodstępnego kija.

Pewnego dnia szedł znowu na cmentarz, gdy wtem napotkał nieprzewidzianą przeszkodę. Macał na prawo i lewo, ale zawsze namacał coś twardego, jakby drzewo, potknął się nawet. Biedak nie wiedział że postawione rusztowanie przy domu, obok którego przechodził zwykle swobodnie.

Robotnicy widzieli kłopot biednego kaleki, ale nie ruszyli się z miejsca, a nawet jeden z nich zawołał:

— Więcej na lewo, panie spacerowicz!

Nie było tam już rusztowania, ale za to rów, w który niewidomy byłby wpadł z pewnością, gdyby nie był wysłał swego kija naprzód na zwiady. Dwóch chłopaków niegodziwych stanęło z boku, śmiejąc się.

— Boże! coż to za nielitościwi ludzie! — narzekał kaleka, nie wiedząc, w którą stronę się ruszyć.

Wtem jakaś drobna rączka wsunęła się pod jego ramię i dziecięcy głos odezwał się uprzejmie:

— Ja pana zaprowadzę, dokąd sobie pan życzy.

Usłyszał potem ten sam głosik, który mówił do robotników z gniewem:

— Wstydźcie się żeby nie pomódz nieszczęśliwemu.

Była to właśnie mała dziewczynka, która zobaczyła kalekę w kłopocie i podbiegłszy ku niemu, zapytała:

— Dokąd pójdziemy teraz? ja pana poprowadzę!

— Chciałem pójść na cmentarz, ale już lepiej wrócę do domu.

— Dlaczego? Toż do cmentarza tylka parę kroków.

— Ale czy będziesz miała tyle czasu, dziecko? Czy mama nie będzie się gniewała, że nie wracasz długo do domu? — zapytał kaleka.

— O! mama gniewałaby się na mnie, gdybym jej powiedziała, co się panu stało, a ja go opuściłam, — odrzekło dziecko.

— To dobrą masz matkę! A ojciec żyje jeszcze?

— Tak, jest robotnikiem w fabryce, musi ciężko pracować.

Rozmawiając tak, doszli do cmentarza i po pewnym czasie dziewczynka wyprowadziła stamtąd kalekę, który doszedłszy do swego domu, zapytał ją o nazwisko i mieszkanie rodziców.

Dziewczynka pobiegła do domu i opowiedziała matce, gdzie była i co ją spotkało, a mama pochwaliła ją za to. W parę miesięcy później wszedł do domu rodziców o południowej porze młody kapłan i rzekł do zdziwionych:

— Wasza córeczka przed pewnym czasem odprowadzała biednego niewidomego na cmentarz, widząc, że sam dojść nie może, nieprawdaż?

— Tak jest, odpowiedzieli rodzice, którzy dawno już zapomnieli o tem drobnem zdarzeniu.

— Ten człowiek umarł przed godziną i byłem przy jego śmierci. Prosił mię, abym wam osobiście wręczył tę oto kopertę i powiedział, że to jest podziękowanie niewidomego za dobry uczynek dziecka.

Kiedy kapłan odszedł, ojciec otworzył kopertę i wyjął z niej tysiąc rubli w papierach, które biedak zmarły oszczędził na czas, w którym nie będzie mógł już wyruszyć się z domu. Matka jego staruszka już nie żyła, więc ofiarował je dobremu dziecku, które mu oddało przysługę tak uprzejmie i chętnie. Dziewczynka modliła się odtąd codziennie za duszę niewidomego i nosiła na grób jego kwiatki, a rodzice jej zamawiali corocznie Mszę św. za dusze dobroczyńcy ich dziecka.

